

Stanisław Krajewski
dr hab., UW

Moje spory z Ojcem – Władysławem Krajewskim

Nie jest mi łatwo pisać o moim Ojcu, bo przyjąłem, że zamiast laurki lub faktografii napiszę o naszych sporach, a więc nie bezkrytycznie. A przecież Ojciec to człowiek, któremu niezmiennie wiele zawdzięczam (nie tylko samo istnienie: widać – wbrew pewnym filozofom – bycie nie jest najważniejsze). To człowiek, z którym się spierałem, zawsze Go kochając i – co nie mniej ważne – nigdy nie tracąc doń szacunku; nie jestem pewien, czy słowa wypowiedziane z dystansem są na miejscu teraz, gdy powstał dystans absolutny. A jednak chcę spróbować wskazać, w jakim sensie byłem wobec Niego zbuntowany, co oczywiście jest innym rodzajem pozostawania pod wpływem, choć zarazem najwyraźniej tak bardzo postępowałem Jego śladem – co przyznaję nie bez trudu, mając poczucie, że moje szlaki prowadziły przez zupełnie inne regiony niż te, w których On przebywał – że przez ostatnie lata Jego życia byliśmy członkami tej samej Rady Naukowej Instytutu Filozofii.

Mój Ojciec był scjentyistą. Nawet wtedy, gdy był marksistą, wierzył przede wszystkim w nauki przyrodnicze. One dają, według Niego, wzorzec poznania, osiągają najlepszy dostępny człowiekowi obraz świata. Filozofia ma się na nich opierać. Był pozytywistą, a po części neopozytywistą, poczuwając się zawsze do dziedzictwa Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, najpierw łącząc to z Marksem, a potem z Popperem. Najpierw wierzył, że Marks odkrył prawa społeczne w sposób podobnie adekwatny, jak ma to miejsce w naukach przyrodniczych. Gdy okazało się to złudzeniem, przyjął stanowisko realizmu krytycznego i uznawał potrzebę stałego krytycyzmu. I oczywiście wolności myślenia. Jego badania naukowe dotyczyły przede wszystkim prawidłowości rozwoju nauk przyrodniczych. Uznawał to za i ważniejsze, i ciekawsze niż wszelkie inne tematy dociekań filozoficznych.

Natomiast mnie Jego pozytywistyczne nastawienie wydawało się od pewnego momentu zbyt ograniczające, a w każdym razie nie do przyjęcia dla mnie. Bo przecież są inne sposoby poznania: przez literaturę, poezję, sztukę oraz po prostu przez bycie z innymi, czyli otwarcie na sferę tego, co międzyludzkie,

a także w jakimś sensie – przez prorocstwo, modlitwę, rytuał. Może najważniejsze jest poznanie potoczne, świat życia, w którym musi być zakorzeniona nie tylko literatura, ale i każda teoria naukowa. Jest wiele podstawowych pojęć, przedśądów, perspektyw danych przez tradycję, otoczenie, język, do których musimy się odwoływać, nawet jeśli potrafimy je czasem przewyżczać. Bo przewyżczając jedno, odwołujemy się do innych. To dlatego filozofia ma co robić niezależnie od nauk przyrodniczych, choć na pewno nie należy lekceważyć ani ich osiągnięć, ani ich standardów. Otóż na takie, standardowe przecież, argumenty antyscjentystyczne mój Ojciec powiadał, że chodzi tu o uczucia i intuicje oraz nieścisle, nieweryfikowalne i niefalsyfikowalne spekulacje, które zasługują co najwyżej na miano jakiejś przedfilozofii. Co prawda przyznawał, że większość filozofów uprawia „filozofię-sztukę”, czyli są to w istocie irracjoniści, ale godził się na to tylko z powodu właściwej Mu tolerancji. – Filozofia ma być naukowa – mawiał. Naukowa – czyli, rzekłbym nieco złośliwie, filozofia ma być służką nauk ścisłych. W Jego mniemaniu, podobnie jak w wizji innych pozytywistów, nauki społeczne mają być takie jak fizyka, badanie człowieka ma być naukowe, czyli znów jak fizyka, a filozofia ma to wszystko „uogólniać”. Ale niby dlaczego filozofia ma być naukowa w takim sensie? Bo nie ma być ani spekulatywna, ani zdroworoządkowa. Ale dlaczego? Bo nauka jest wzorcem. Wracamy więc do punktu wyjścia, do podstawowego przekonania o wyższości nauk ścisłych. Jest to – w moim pojęciu – założenie przedfilozoficzne. Co prawda – przyznawał mój Ojciec – nauka może być wykorzystywana niewłaściwie, przeciw człowiekowi, ale to nie podważa wartości poznania naukowego, a tylko wskazuje na moralną ułomność ludzi.

Oprócz tego, że był scjentyistą, mój Ojciec był człowiekiem całkowicie i bezwarunkowo uczciwym, rzetelnym i moralnym. Ale nie łączył tego ani z filozofią, ani oczywiście z religią. Religia była dla Niego odwrotnością nauk przyrodniczych. Była więc negatywnym punktem odniesienia. Nie zmienił tego fakt, że przez wiele lat był wyznawcą swojej religii, czy może raczej quasi-religii, jaką był marksizm. To ja formułowałem taki zarzut, a On, owszem, przyznawał, że coś w tym jest, ale tym bardziej uważał, że skoro przejrzał na oczy i odrzucił quasi-religię, ma też prawo, a nawet obowiązek, odrzucić religię. Ja uważałem – i uważam – inaczej. Skoro ktoś przekonany o swojej antyreligijności mógł latami wyznawać „religię”, to trzeba przyjąć bardzo serio hipotezę, że jakiś taki całościowy światopogląd, niekoniecznie w pełni uświadamiany, jest niezbędny, by odnosić się do świata. Zastąpienie jednej „quasi-religii” inną, tzn. kultem nauk ścisłych, było w moim przekonaniu nieuzasadnione. Lepiej jest – twierdziłem – przyjrzeć się poważnym tradycyjnym religiom i zobaczyć, czy jest możliwe wpisanie się w którąś z nich. Przyjrzeć się – czyli wejść w te tradycje na tyle, by można było ująć je od wewnątrz. Jednak na to Ojciec się nie godził. Choć miał szerokie zainteresowania, dużą wiedzę o historii, o językach, o geografii, uważał,

że bliskie poznanie religij nie jest warte zachodu. Oczywiście religioznawców szanował, zgodnie ze znanym powiedzeniem, że bzdura nie ma wartości, ale badanie historii bzdury może być wartościową nauką.

Mój Ojciec, nie bardzo znając się na religiach, był niegdyś aktywnie antyreligijny. Chodziło mu jednak nie tyle o poszczególne artykuły wiary lub rytuału, co o wiarę w ogóle, o istnienie Boga, o instytucje religijne, sens modlitwy itd. Później, gdy młodzieńczy radykalizm poglądów ustąpił miejsca świadomości, że nie wszystko jest takie proste, patrzył na religie pobłażliwie. Traktował je z góry, jako dziecięcą przypadłość ludzkości, nie uważał więc, że warto zagłębiać się w to, co mają do przekazania. Częściowo było to wyrazem doświadczeń pokoleńowych. W pierwszych dekadach XX wieku triumf techniki i nauki, zapoczątkowany jeszcze w poprzednim stuleciu, skłaniał wielu do porzucenia „zabobonów” i złożenia hołdu nauce. Natomiast ja stwierdziłem, że scjentyzm jest rodzajem quasi-religii i że warto poważniej niż tę nową traktować stare tradycje religijne, choć faktycznie należy uważać na bałamutne i przebrzmiałe treści występujące w religiach, a ponadto nie można ignorować osiągnięć naukowych.

Ojciec mojego podejścia nie rozumiał, ale też nie oponował. Nie miał zrozumienia dla mojego przekonania, że przeciwieństwem nauki jest magia, a właściwie pojęta religia jest też przeciwieństwem magii – tylko z innej strony. Chodzi w niej o sens świata, o cel naszego życia, czyli o kwestie, o których nauka nie ma nic do powiedzenia. Choć faktycznie funkcjonujące religie zawierają wiele elementów magicznych, można dążyć do ich przezwyciężenia, a w ten sposób do religii „dorosłej”. Ojciec nie dawał się przekonać, że religia różni się od magii. Sens świata i cel życia – owszem uznawał za ważne, ale one miały jakoś wynikać same z siebie i nie zasługiwały na podbudowę czy to w postaci tradycji religijnej, czy refleksji filozoficznej.

Jego niechęć do poznawania tradycji religijnych nie przeszkadzała temu, że wiedział sporo o chrześcijaństwie. Interesował się nim po pierwsze dlatego, że chrześcijaństwo jest ważne w historii filozofii (a ściślej biorąc – filozofii zachodniej), a po drugie z prostszej a rzadziej rozumianej przyczyny, jaką jest fakt, że w Europie wszyscy żyjemy w społeczeństwach schrystianizowanych, zdominowanych przez pojęcia, symbole, obrazy i struktury chrześcijańskie lub będące pod wpływem chrześcijaństwa. Natomiast o tradycjach spoza głównego nurtu nie wiedział, bo wiedzieć nie chciał. Nie znał się na judaizmie, który mnie stał się z czasem tak bliski. Co więcej, nie chciał się znać. Wyglądało na to, że łatwiej Mu było zapamiętać słowo węgierskie niż hebrajskie. Odczuwał opór, uważał, że odrzucenie tradycji przodków, dokonane zresztą przez jego rodziców, a nawet dziadków, na rzecz polskości zobowiązuje do trzymania się z dala od spraw żydowskich. Ja uznałem, że jest to postawa niewłaściwa, bo w gruncie rzeczy wynika ona z akceptacji tezy, że nie można być i Polakiem, i Żydem, a przez to pośrednio przyznaje rację antysemitom. Jednak podczas gdy ja odnalazłem

się w tradycji żydowskiej, i to właśnie tej religijnej, Ojciec zachował wobec niej dystans nie mniejszy niż wobec innych tradycji religijnych. Przychodził do nas z okazji niektórych świąt żydowskich, ale nigdy się w nie nie zagłębił.

Myślę, że Jego entuzjazm dla nauk ścisłych połączony z niechęcią do innych tradycji wynikał z potrzeby stanięcia na gruncie pewnym, obiektywnym, niezależnym od jakichkolwiek tradycji. Chodziło o grunt, na którym wszyscy są równi, bo stosuje się tylko obiektywne, neutralne kryteria. Oczywiście wiele osób ma taką potrzebę uniwersalności. Jednak wydaje mi się, iż w przypadku ludzi takich jak mój Ojciec, dochodzi coś jeszcze. Jest to potrzeba uznania, że ta uniwersalność została *już* osiągnięta. Negowanie roli religii i innych tradycji partykularnych może zapewne mieć różne źródła. Jedno wszakże narzuca mi się jako wyjaśnienie, które tu pasuje. Przyjęcie podejścia uniwersalnego, narracji powszechnie obowiązującej usuwa pewne niewydumane zagrożenie, a mianowicie możliwość odrzucenia lub co najmniej postrzegania obcości. To zagrożenie istnieje wobec osób, które w poprzedzających pokoleniach miały tradycje inne niż większość, z którą się zasymilowali. Filozofia musi więc być obiektywna, a wszelkie uwarunkowania mają być zneutralizowane. Scjentyzm jest dość naturalną drogą do tego celu.

Opisana różnica podejść do możliwej roli różnych tradycji objawiła się kiedyś publicznie. W trakcie dyskusji na temat, czy istnieje filozofia żydowska, prowadzonej z udziałem moim i młodszych ode mnie kolegów filozofów, próbowaliśmy się zastanawiać, jakie wątki we współczesnej filozofii można określić jako żydowskie i w jakim sensie. Ponadto rozważaliśmy, czy niektórzy filozofowie przez to, że byli Żydami, ujmowali jakieś tematy inaczej niż filozofowie z rodzin chrześcijańskich. W pewnym momencie wstał obecny na sali mój Ojciec i powiedział – Ależ to nonsens! Filozof rozważa problemy racjonalnie, a rozum nie zależy od pochodzenia ani wyznania. – Otóż było to z jednej strony słuszne przypomnienie o uniwersalności rozumu, ale z drugiej wyrażało jakąś obawę, której my nie odczuwaliśmy. Była to, jak myślę, obawa przed podzieleniem filozofii na chrześcijańską, żydowską, indyjską itd. i utratą wspólnego mianownika. Tymczasem my wcale nie przesądzaliśmy tego, czy ktoś – np. Levinas – jest filozofem w jakimś istotnym sensie żydowskim, czy jest po prostu filozofem, który wykorzystywał pewne wątki żydowskie do ilustracji problemów, podobnie jak nie przesądzalibyśmy z góry, czy Pascal był filozofem chrześcijańskim, czy też po prostu filozofem, skądinąd zaangażowanym w kontrowersje wewnątrzchrześcijańskie. Uważaliśmy natomiast, że problem można swobodnie badać. Sądzę, że u podłoża tego przekonania żywionego przez pozostałych uczestników dyskusji było poczucie, że cokolwiek się okaże, nie będzie to zagrożeniem dla ich statusu. To chyba nie przypadek, że paneliści byli młodzi, a ja – choć starszy – przeszedłem długą i niezbyt typową drogę odzyskiwania mojego żydowskiego zakorzenienia.

To, że ja nie musiałem się obawiać o swoją legitymację polskości, jest wynikiem dopełnienia się procesu asymilacji. Myślę, że mogę być za to wdzięczny

między innymi mojemu Ojcu. Skutek jest jednak paradoksalny. Możliwa się stała dezasymlacja, to znaczy odzyskiwanie tożsamości żydowskiej bez utraty polskiej. Jest to historycznie nowe zjawisko, którego wynik jest raczej niewiadomy. Może wpłynie nawet na rozważania filozoficzne?

Choć nie było mi łatwo zacząć pisać te słowa, bo ledwie kilkanaście miesięcy upłynęło od odejścia Ojca, przyniosło mi to nieoczekiwane zadowolenie, a nawet ukojenie. Napisałem „odejścia”. W związku z tym nie mogę się powstrzymać od uwagi, że wspominając zmarłego, wszyscy mówią właśnie „odszedł”, a nie umarł – i w ten sposób wyrażają wiarę w życie pozagrobowe, a co najmniej odzwierciedlają dominację takiego przekonania w języku, w którym się wychowali. Żałuję, że nigdy nie przedstawiłem takiego argumentu Ojcu. Myślę wszakże, że wiem, jak by zareagował. Najpierw roześmiałby się dobrodusznie, nieco bezradnie, a trochę z politowaniem. Machnąłby ręką i rzekł:

– Ale to tylko słowo!

Na to ja odparowałbym natychmiast:

– Jak to „tylko”? Przecież to jest przykład tego, że w jakimś stopniu język mówi „za nas” i nie możemy tego aspektu języka do końca kontrolować.

Na to bym usłyszał:

– Ale przecież ja, podobnie jak wiele innych osób, nie wierzę w życie pozagrobowe.

W tym momencie może bym pociągnął dalej:

– No tak, ale nie wiadomo, ile takich nieuświadomianych założeń znajduje się w języku, którego używasz. W żadnym momencie nie można ich wszystkich wyeliminować.

Na to zapewne bym usłyszał:

– Dlatego trzeba używać języka ścisłego, języka nauki.

Być może jednak nie ciągnąłbym tej rozmowy dalej. Przeszlibyśmy do innego tematu.

Rozmowa wciąż trwa. A to jest najbardziej niekontrowersyjny rodzaj „życia” po śmierci.